

Paulina Karbownik

Drzewa

Jest chłodny jesienny wieczór. Jak zawsze, o tej porze roku, dym z kotłowni łączy się z oparami fabrycznych kominów sprawiając, że gęste, białe chmury niemal całkowicie zakrywają niebo. Na szczęście, minie jeszcze kilka tygodni zanim smog zejdzie niżej, a powietrze stanie się trudne do zniesienia.

Jakiś czas temu, świat zaczął robić się niebezpieczny. Budowanie murów wokół miast stało się koniecznością. Trafiają się różne dziwactwa – czasem zmutowane zwierzę, innym razem uszkodzony robot wojskowy, strzelający z plazmówki do wszystkiego co się rusza. Tego drugiego wypatrzyłem sam – zajmuję się tym zawodowo.

Idę właśnie do pracy, wdrapuję się po schodach wieży. W mieście mamy ich kilka, wszystkie usytuowane przy murze – to z nich wypatrujemy zagrożeń. Każda ma dwa główne, ogromne okna. Jedno zapewnia widok na miasto, drugie na dzicz.

Na górze zastaję Antka, mojego zmiennika. Wydaje się jakiś nieswój. Stoi przy oknie wychodzącym na las i wpatruje się w niego.

– Cześć – witam się. – Wszystko gra?

– Hej. Chyba tak, tylko ptaki są jakieś niespokojne – mówi, pokazując palcem latające punkciki. – Trochę mnie to niepokoi.

Obiecuję mu, że zwrócę na to uwagę. Potem, chłopak żegna się i wychodzi. Kilkanaście minut później zjawia się Nora, moja współpracownica (na nocnych zmianach zawsze jesteśmy w parach). Jak zwykle przychodzi spóźniona, w cywilnym ubraniu. Strasznie cuchnie. Czuć ją potem, alkoholem i papierosami. Dwa pierwsze nie dziwią, ale nie mam pojęcia skąd bierze fajki – palenia zakazano lata temu. “Nie było czasu się przebrać” – mówi widząc dezaprobatę w moim spojrzeniu. Kiwam głową, przyzwyczaiałem się już. Zawsze jest w takim stanie kiedy mamy dyżur w niedzielę. Z resztą, nie lepiej wygląda w poniedziałki. Nie zamierzam robić jej wyrzutów – jest starsza stopniem, a to czyni ją właściwie moją szefową. Patrzę jak gramoli się pod biurko, kładzie głowę na poduszce ze zwiniętej bluzy, a ramieniem szczelnie zakrywa oczy przed promieniami zachodzącego słońca.

– Cholerne światło. Dlaczego tu nie ma rolet?

– Bo to obserwatorium – oznajmiam chłodno. – Ptaki są jakieś dziwne. Jak tylko któryś wyląduje w lesie, zaraz się płoszy.

– Ptaki jak ptaki – burczy z podłogi. – Pewnie jakaś łasica poluje. Obudź mnie, jeśli wydarzy się coś godnego uwagi.

Przez kilka kolejnych godzin słyszę jej chrapanie, a sam wpatruję się w las. Słońce już zaszło, nie widać żadnych zwierząt. Świat jest taki jak zawsze, a jednak coś się nie zgadza. Nie mam pojęcia dlaczego, ale każdy szelest liści przyprawia mnie o gęsią skórkę. W końcu, po północy, dziewczyna budzi się i staje obok mnie.

– Dalej wgapiasz się w ten cholerny las? – pyta zachrypniętym głosem. Wygląda już lepiej, ale zapach nadal ma bardzo nieprzyjemny. – Dzieje się tam cokolwiek?

– Niby nic, ale mam złe przeczucia. Może wystalibyśmy drona czy coś? – pytam wiedząc, że się nie zgodzi. Odkąd wprowadzili ustawę regulującą zużycie prądu jesteśmy skrupulatnie rozliczani z każdego użycia elektroniki.

– Chcesz żeby dowództwo zważyło się tu z kontrolą?! Wykluczone, nie chcę o tym słyszeć. – warczy. – Głowa mi pęka, nie wytrzymam tu bez piwa! Idę do nocnego. Chcesz coś?

– Nie, ale może ja pójdę? Jest środek nocy, jeszcze coś ci się stanie.

– Dzięki, ale chcę się przejść, a w niedzielę zawsze jest spokojnie. Zaraz wracam, a ty przestań już histeryzować z tym lasem! Słyszysz? Zrób sobie przerwę, siadaj przy biurku! To rozkaz! – mówi i zaczyna zbiegać po schodach.

Wzruszam ramionami, rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie na las. Może ma rację, może zasugerowałem się obawami Antka – czy kilka spłoszonych ptaków to powód do niepokoju? Odsuwam fotel i rozsiadam się przy biurku. W końcu odprężony, wyciągam zmęczone nogi. Czuję rozluźniające się mięśnie i właśnie w tym momencie słyszę krzyk – rozdzierający wrzask Nory. Natychmiast podnoszę wzrok na drugie okno, to skierowane na miasto. Zapomniałem o nim. Tak się skupiłem na lesie, że ani razu nie wyjrzałem na miasto, a teraz nie mogę uwierzyć w to co widzę.

– O Boże – szepczę przerażony.

Zapada zmrok, czuję to w swych liściach. Dym unosi się nad światem i dusi wszystko co żywe. Wdychamy to, czym plują kominy. Drapie was w gardłach? Pomyślcie jakbyście się czuli gdybyście oddychali ciałem, jak my, drzewa.

Sadziliście nas całymi hektarami, chcieliście zrzucić na nas obowiązek utrzymania świata w czystości. Głupcy. Przywrócimy czystość, ale nie taką, jakiej się spodziewacie. To będzie nasze ostatnie zadanie, zanim zrzucimy liście i pogrążymy się w zimowym śnie. Wszystko po to, by wiosną obudzić się w całkiem nowym świecie. Świecie bez człowieka. Nic wam już nie pomoże.

Moje korzenie, czuję pod nimi setki gardeł. Wystarczy tylko ścisnąć.

Spaceruję po pustyni. Jeszcze wczoraj był tu bujny, tętniący życiem las. Dziś, zostało tylko kilka zwęglonych pni, zresztą one też tu nie zostaną. Dostaliśmy rozkaz: “wyplenić z korzeniami wszelką roślinność”. To czego nie udało się spalić mamy potraktować kwasem, albo wrzucić do rozdrabniarki.

Kiedy w nocy wyjrzałem przez okno działo się coś niesamowitego. Las oszalał. Nie zmienił się na powierzchni, ale korzenie przebiły się pod murem i terroryzowały śpiące miasto. Wdzierały się do domów i dusiły mieszkańców we śnie. Chłopaki na innych posterunkach nie uważali – jedni spali, inni grali w karty. Gdyby nie krzyk Nory, nikt nie zobaczyłby w porę, co się dzieje. Chociaż, miasto ucierpiało tak bardzo, że trudno nazwać to o reakcją na czas. Niektóre dzielnice zostały niemal całkowicie zniszczone. Wszystko dlatego, że musieliśmy sięgnąć po ogień. Wciąż wyrzucam sobie, że być może obyłyby się bez ofiar, gdybyśmy pilnowali drugiego okna. Nie jestem bez winy, zagapiłem się. Na szczęście, dowódca powiedział, że nam odpuści. Wie, że nie miałem z Norą łatwo, a co do niej... Drzewa już wystarczająco ją ukarały. Korzeń dorwał ją gdy wychodziła z wieży. Przeżyła, ale gardło ma tak pogruchotane, że oddycha za nią maszyna. Jest przytomna, więc sama zdecyduje czy chce takiego życia, czy też woli żeby ją odłączyć. Biedaczka, gdyby nie miała alkoholu we krwi pewnie dostałaby niebotycznie drogą protezę za wypadek na służbie, ale w tej sytuacji nie może na to liczyć.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że sami sadziliśmy te drzewa – no, nasi dziadkowie sadzili. Miały oczyszczać powietrze, ułatwiać oddychanie. Najwyraźniej nie zdały egzaminu. Trudno, wymyślimy coś innego. Jakoś sobie poradzimy – przetrwamy – jak zawsze. Zastanawiam się tylko jakim kosztem.